

Gaja Grzegorzewska

Zabójczy

duet



Gaja Grzegorzewska

Zabójczy

duet

Mówi się, że zbrodnia doskonała nie istnieje. Nie mam zamiaru polemizować z tą popularną opinią, bo podważyłbym swoje kompetencje. Detektyw, który zakłada, że nie każdą zagadkę da się rozwikłać, powinien zmienić zawód. Uważam się za dobrego fachowca, w moich szafach nie zalegają segregatory pełne nierozwiązanych spraw, więc uczciwie mogę powiedzieć, że ja w swoim życiu zawodowym nie spotkałem się ze zbrodnią doskonałą. Ale raz, jeden jedyny raz, zetknąłem się ze zbrodnią prawie doskonałą. Od tamtej sprawy minęło prawie dwadzieścia lat, a ja nadal często wracam myślami do tych kilku dni w środku mroźnej zimy i najdziwniejszego śledztwa w całej mojej karierze. Ale po kolei.

Rzecz działa się w czasach, gdy nadal raczkujący polski kapitalizm sięgał w interesach po mniej lub bardziej kombinatorskie metody, lawirując w szarej strefie prawnych niedopowiedzeń. Nie jest tajemnicą, że spora część tych biznesów była po prostu przykrywką dla szeroko rozumianej działalności przestępczej. Pojawienie się „Zabójczego duetu” było naturalną konsekwencją tamtych praktyk i odpowiedzią na potrzeby mafijnego rynku.

Pamiętacie w ogóle „Zabójczy duet”? Głupie pytanie. Jasne, że pamiętacie. I już zawsze będziecie pamiętać. Tak samo jak nie wyrzucicie z głowy Elżbiety Batory, Kuby Rozpruwacza czy naszego Karola Kota. Każda epoka ma swoje własne potwory. Słynnych morderców, którzy od stuleci władają ludzką wyobraźnią. Z perspektywy lat można dostrzec, że w każdym z tych niechlubnych przypadków, jak w soczewce skupiają się najgorsze cechy czasów, które wydały ich na świat.

Przyjmując taki punkt widzenia musicie się zgodzić, że ostatni przełom wieków należał do „Zabójczego duetu”. Para płatnych morderców szybko stała się ulubionym tematem mediów. Przez następne kilka lat rozwijali swoją makabryczną działalność, wzbogacając wykonywanie mafijnych wyroków o elementy cynicznego anturażu, które stały się rodzajem podpisu. Byli antybohaterami z pierwszych stron gazet i stałymi gośćmi w polskich domach, za sprawą wiadomości telewizyjnych i programów radiowych. Pojawiali się również jako punkt odniesienia w filozoficznych dysputach i badaniach naukowych.

Socjologowie analizowali ich fenomen na bieżąco, wskazując elementy, które sprawiły, że para bezwzględnych morderców zdobyła tak wielką popularność. Po pierwsze, tak zwany „statystyczny Kowalski” nie musiał się niczego z ich strony obawiać. Mordowali tylko ludzi sławnych i bogatych, najczęściej z kryminalnego świata. A z tym ów Kowalski mógł nawet sympatyzować. Po drugie – nikt nie wiedział jak się nazywają i jak wyglądają. Ani policja, ani media nie dysponowały nawet jednym słabej jakości zdjęciem. Za twarze służyły im zmieniające się portrety pamięciowe, co dodatkowo utrzymywało i pogłębiało wrażenie, że pozbawieni imion, twarzy i ciał mordercy nie są prawdziwymi ludźmi, tylko jakimiś fantastycznymi bytami, żyjącymi jedynie w legendach i artykułach z gazet. Ludzi ekscytowało również to, że byli partnerami w zbrodni i parą w życiu. Nakarmieni nowym gangsterskim kinem zza oceanu, przyjęli, że ona musi być seksbombą, a on przystojnym kulturystą.

Duet nie należał do żadnej grupy przestępczej. Podobnie jak dziwki, tancerki egzotyczne, prywatni detektywi i cała reszta ludzkości pracującej w sektorze usług nietypowych, nie wybrzydzała i nikogo nie faworyzowała, brała zlecenia na mokłą robotę od każdego, kto im zapłacił. A że stawki mieli absurdalnie wysokie – na wynajęcie ich pozwolić sobie mogła tylko garstka krezusów. Można więc powiedzieć, że zbudowali markę luksusową i elitarną.

Dla prywatnych detektywów był to również czas prosperity. Nigdy nie miałem tylu zamożnych klientów, co wtedy. W większo-

ści byli to biznesmeni, którzy szybko pozbijali majątki, ale jeszcze szybciej przekonali się, że duże pieniądze to również duże kłopoty. Porwania, morderstwa, tortury, pobicia, kradzieże, rozboje, zdrady, szantaże, wymuszenia, łapówki. Ich problemy dla mnie z kolei oznaczały masę zleceń. W ciągu tych kilku tłustych lat poznałem chyba każdy rodzaj zlecenia, jakie można zaproponować detektywowi. Roboty było tyle, że musiałem zatrudnić ludzi. Ja sam brałem już tylko sprawy, które mnie naprawdę zainteresowały.

Problem Ryszarda „Karata” Karaska chciałem od razu zlecić któremuś podwykonawcy. A jednak, zamiast przekazać telefon dalej, wystuchałem gościa do końca. Może zadziałała tu sława Karaska, który był najbogatszym obywatelem naszego miasta i wciąż piął się w górę na liście najbogatszych Polaków. Takim klientem warto się troskliwie zaopiekować, nawet jeśli sprawa nie zapowiada się interesująco. Biznesmen mówił dosyć oględnie o jakimś interesie, który ma na dniach sfinalizować i być może ktoś będzie chciał mu przeszkodzić, a nawet całkowicie usunąć go z drogi.

– Usunąć? W sensie: zamordować?

– Być może.

– Są jakieś przesłanki potwierdzające pana obawy?

– A co pan myśli? Że sobie to uroiłem? – Karasek zdenerwował się. – Jak pan weźmiesz tę robotę, to pogadamy o szczegółach. Bierze pan czy nie?

Zawahałem się. Z jednej strony, zlecenie od takiego prominentnego gościa oznaczało dla mojej firmy prestiż, kasę, rozwój i otwarcie na nową klientelę. Z drugiej strony drażniło mnie jego protekcyjne podejście. Zapowiadał się na klienta męczącego, wokół którego trzeba skakać jak lokaj. Moim sposobem na wyjście z impasu jest rzucenie zaporowej stawki. Wyliczyłem mu ceny konsultacji, wysokość dniówki i kosztu dodatkowe, a na koniec podałem jeszcze okrągłą sumkę, którą inkasowałem finalnie w ramach premii za rozwiązanie problemu.

– Niech będzie – zgodził się łaskawie. – Pewnie mnie pan równo skubiesz, jak każdy, kto się nadzieje na klienta z grubym portfelem. Kosztta dodatkowe! Dobre sobie! Obyś był pan wart tej naciąganej ceny.

Zabrzmiało to trochę jak groźba, ale miałem świadomość, że tacy osobnicy jak Karat używają arogancji jako sita dla otoczenia i po prostu nie mają nawet czasu na uprzejme traktowanie każdego napotkanego frajera.

Mój nowy klient nie miał zamiaru udzielić mi żadnych informacji przed podpisaniem umowy. Chciał porozmawiać jak najszybciej, ale wyraźnie zaznaczył, że tak naprawdę nie ma czasu na pogaduszki. Zaproponowałem, że ja do niego przyjadę z umową. Nie była to żadna uprzejmość z mojej strony, po prostu bardzo byłem ciekaw jak facet mieszka.

– O nie, zły pomysł – przerwał mi. – Ludzie pana kojarzą. Nie chcę, żeby się rozniosło, że wynająłem łapsa. Jeszcze nie teraz – słyszałem, jak przewraca strony kalendarza, szukając wolnych pięciu minut. – Dobra. Będę u pana o 19.30. Podpiszemy te papiery i pana poinstruuję co dalej. Do widzenia.

– Poinstruuję? – prychnąłem do słuchawki, ale po drugiej stronie nie było już nikogo. Rzuciłem telefon na stół, zaczynając żałować swojej decyzji. – Nowobogacki burak!

Usłyszałem parsknięcie i stłumiony śmiech. Podniosłem wzrok. W drzwiach, oparta o framugę, stała Matylda, moja sekretarka. W ręce trzymała notes, o który bębniła długopisem. Jak zwykle ostentacyjnie podstuchiwała, czego właściwie nie miałem jej za złe, bo przynajmniej była na bieżąco w kwestii prowadzonych przez biuro spraw i była najlepiej poinformowaną osobą w naszej sześcioposobowej firmie.

– Co to za burak, szefie? – zapytała, widocznie nie udało jej się wyłowić wszystkiego z rozmowy. Odkleiła się od framugi i weszła do pokoju. Miała na sobie przylegającą do ciała, fioletową sukienkę za kolano, imponująco wywatowaną w ramionach i bordowe szpilki. Jasne włosy spięta w kok, a usta pomalowała czerwoną szminką. Domyśliłem się, że w telewizji znowu musiał lecieć jakiś czarny kryminał z Bogartem i tego dnia Matylda bardziej odgrywała sekretarkę niż nią była.

Usiadła po drugiej stronie biurka na krześle dla interesantów, wyprostowana jak struna, przyjmując pozę pełnej gotowości do pracy. Założyła nogę na nogę, notes otwarty na pustej stronie położyła na kolanie, a dłoń z długopisem znieruchomiła nad kartką.

Nakreśliłem jej szybko sytuację, wiele tego nie było. Matylda zanotowała coś w swoim kajeciku. Byłem ciekaw, co tam sobie nabazgrała, bo dziewczyna potrafiła kombinować lepiej niż niejeden śledczy.

- To co? – popatrzyła na mnie z uśmiechem. – Na początek mam ci poszukać brudów..., to znaczy informacji o naszym kliencie.
- Tak. Przygotować, a potem zreferować najważniejsze fakty, zanim Karat tu przyjdzie. Jestem dziś dosyć zajęty i nie mam czasu przedzierać się przez całe artykuły. Więc masz jakieś trzy godziny. Wróć tu za kwadrans siódma, a do tego czasu mi nie przeszkadzaj.
- Jasna sprawa, szefie – odpowiedziała.

O wyznaczonej przeze mnie godzinie Matylda wkroczyła ponownie do mojego gabinetu, niosąc stertę papierów, gazet i czasopism. Zdążyłem zamknąć ułożonego do połowy pasjansa, ale kpiący uśmiešek, z jakim Matylda wpatrywała się w ciemne okno za moimi plecami, zdradził, że zostałem zdemaskowany. Musiała zauważyć odbicie ekranu.

Nie skomentowała tego jednak, tylko usiadła tam, gdzie poprzednio. Rozłożyła przed sobą materiały, na wierzchu kładąc swoje notatki. Zerknęła w nie i zaczęła mówić.

- Dowiedziałem się, że Karasek pochodził z niezamożnej chłopskiej rodziny, jego ojciec umarł wcześniej, wychowała go matka. Skończył zawodówkę budowlaną. Zaraz po szkole poszczęściło mu się po raz pierwszy. Akurat państwo wykupowało ziemię pod budowę drogi. Karasek długo ociągał się z podjęciem decyzji sprzedania ojcowizny. W końcu została już tylko jego działka. I dopiero, gdy zaoferowano mu dwa razy tyle, co sąsiadom, zgodził się ją sprzedać.
- O tych początkach opowiadał w wywiadzie dla Pulsu Biznesu w 1998 roku – Matylda podsunęła mi pośótkły dziennik sprzed pię-

- ciu lat. Karasek załapał się na pierwszą stronę. Zdjęcie przedstawiało rumianego czterdziestolatka z wąsem i brzuszkiem, w opiętej marynarce, pozującego na tle baru, w należącem do niego klubie.
- Podobają mu się ta gra, którą prowadził z zarządem dróg. Więc część z tych pierwszych pieniędzy zainwestował w nieruchomości. Wkrótce założył też firmę budowlaną. Potem otworzył warsztat samochodowy i komis z używanymi autami, sprowadzanymi głównie z Niemiec. Skoro już siedział w branży samochodowej, postanowił założyć sieć taksówkarską. Potem kupił kilka busów i uruchomił firmę przewozową, która dziś działa na terenie całej Polski. Następnie otworzył kawiarnię i pub, potem kupił plajtującą restaurację. Obecnie jest właścicielem sześciu punktów gastronomicznych i dwóch klubów.
 - Wszystko legalne? Zgodnie z prawem? – spytałem sceptycznie. Nie urodziłem się wczoraj i trochę się już orientowałem, czym jest biznes po polsku. Doświadczenie podpowiadało mi, że szybko zarobione duże pieniądze zawsze są trochę brudne.
 - Wiesz jak jest. I jak było wtedy. Wolna amerykanka. Szara strefa, spore pole manewru. Nic konkretnego – Matylda wzruszyła wywątowanymi ramionami
 - Nigdy nie miał problemów ze skarbówką? Nikt nie sprawdzał, czy w swoich klubach nie rozprowadza przypadkiem narkotyków? I czy pozostałe lokale nie służą do prania brudnych pieniędzy? Albo czy bryki, którymi handluje nie są kradzione? A może domy stawia na terenach zalewowych?
 - To oczywiście możliwe, ale nigdy nie padł na niego nawet cień podejrzenia. Sprawdziłam to. Specjalnie w tym celu uruchomiłam mój kontakt w wydziale kryminalnym – czyli po prostu zadzwoniła do kumpla na ploty, ale powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o uśpionego agenta pod przykrywką, rozpracowującego od wewnątrz organy ścigania. – Według mojego człowieka facet jest czysty. Na tyle, na ile biznesmen może być czysty.
 - To, że policja się mu nie przygląda, jeszcze nic nie znaczy.

– No, jasne. Ale może też być tak, że facet ma po prostu farta, a do tego instynktownie wyczuwa rynek. Od samego początku dywersyfikował swoją biznesową działalność i lokował pieniądze w różnych miejscach. Wiedział, co warto kupić, co sprzedać, a co doinwestować i poczekać. Bez sentymentu pozbywał się interesów i ludzi nie przynoszących zysku. Mówi się o nim, że czego się nie tknie, zamienia w złoto. Stąd przydomek „Karat”.

Do przyścia naszego nowego klienta zostało dziesięć minut, więc poprosiłem Matyldę, żeby mi szybko nakreśliła obraz jego życia prywatnego.

– Albo niezbyt interesujące, albo tak pilnie go strzeże, bo prawie nic nie znalazłam. Nic ciekawego w każdym razie – odparła z wyrażonym niezadowoleniem, energicznie przekładając przyniesioną prasę. W końcu z dołu sterty wyciągnęła jakieś wymemłane, kolorowe piśmko i podała mi już otwarte. – Nic ciekawego, poza tym.

Artykuł nosił tytuł „Najpiękniejsze żony rekinów biznesu”. Izabela Karasek rzuciła się w oczy od razu, nie tylko dlatego, że jej zdjęcie było największe. Po prostu wyróżniała się urodą, nawet na tle innych pięknych kobiet.

– Ładna – stwierdziłem rzecz oczywistą. Rzuciłem okiem na początek akapitu: „Izabela pracowała jako instruktorka fitnessu w sanatorium, do którego Ryszard Karasek przyjechał z matką. Wysportowana piękność od razu zwróciła uwagę biznesmena...” – Ale co w tym ciekawego?

– No, że ma taką ładną żonę. Na następnej stronie jest ich wspólne zdjęcie z podróży poślubnej. Zobacz, jak oni razem wyglądają – Matylda zachichotała, a ja obróciłem stronę. Fotka została zrobiona w jakimś zagranicznym kurorcie. Karasek był na niej grubszy niż na zdjęciu w Pulsie Biznesu. Z rozpiętej hawajskiej koszuli wystawał tłusty bandzioch. A obok niego istota jakby innego gatunku. Idealne proporcje w skąpym bikini, włosy jak z reklamy szamponu, hollywoodzki uśmiech. Rozumiem, że Matyldę rozbawił ten kontrast, ale jest też coś zdecydowanie smutnego w takim obrazku. Człowiek widzi to i sobie myśli, że wielka miłość to to raczej nie jest.

Na dzwonek do drzwi Matylda poderwała się. Zgarnęła materiały prasowe jednym ruchem, byle jak i przyciskając je do siebie, szybkim krokiem opuściła mój gabinet.

Na żywo rekin biznesu wyglądał jeszcze gorzej niż na zdjęciach. Żonka chyba dobrze go karmiła, byli małżeństwem od dwóch lat i w tym czasie przybyło mu kilogramów i centymetrów w pasie. Za to garnitur miał chyba ten sam, co na pierwszym zdjęciu, tyle że teraz był już zdecydowanie za ciasny.

Karasek od razu przypomniał, że nie ma dziś czasu, więc szybko dokonaliśmy formalności. Wtedy podał mi te instrukcje, o których wspominał na końcu rozmowy.

– Zapraszam na weekend do mojego domku w górach, niedaleko Zakopanego. Będzie trochę znajomych, dobre jedzenie, śnieg, cisza. Może pan zabrać żonę albo dziewczynę. Pojeżdża sobie na nartach, a my spokojnie pogadamy.

Dwa dni później, w piątek, z samego rana, wyruszyliśmy z Matyldą moim starym golfem dwójką w stronę Zakopanego. Był to jeden z tych pięknych zimowych dni. Niebo za miastem rozchmurzyło się i zrobiło intensywnie błękitne. Białe śnieg skrzył się po obu stronach szosy, górskie szczyty przed nami lśniły w promieniach słońca, pomiędzy białymi pagórkami wita się czarna wstęga drogi. Łatwo można było zapomnieć, że jedziemy do pracy, a nie na wycieczkę. Na szczęście miałem ze sobą Matyldę, a ona kolejną porcję gazet, czasopism i wydruków z internetu. Zebrane przez nią informacje tym razem dotyczyły gościa Ryszarda Karaska i miejsca, do którego zmierzaliśmy.

Posiadłość położona była wysoko w górach. Nasz klient kupił ją rok wcześniej dla swojej żony, która marzyła o otwarciu luksusowego hotelu. Na razie jednak z willi korzystali tylko Karaskowie i ich goście. Dojazd na miejsce w zimie był utrudniony, a w ciągu ostatniego tygodnia spadło tyle śniegu, że prowadząca przez las droga gruntowa okazała się zupełnie nieprzejezdna. Samochód zo-

stawiliśmy na parkingu u podnóża góry. Ostatni etap podróży odbyliśmy wyciągiem. Obsługujący go góral wsiadł z nami do wagonika. Powiedział, że przybyliśmy jako ostatni.

- Wszyscy już są. Jak z wami łoblece to kunic. Wrócę se do chałupy.
- A wyciąg będzie działał?
- Ano nie. Włąć nazad, jak pan Karasek zadzwoni i kaze.

Wymieniliśmy z Matyldą spojrzenia. Miejsce, do którego zmierzaliśmy zostanie zupełnie odcięte od świata. Nikt nie będzie mógł stamtąd po prostu odjechać. Ale też nikt nie dostanie się na górę.

Gdy dotarliśmy na górę i opuściliśmy wagonik, momentalnie uderzył nas podmuch ostrego, mroźnego, górskiego powietrza. Było tu zdecydowanie chłodniej niż w dolinie. Słońce skryło się za górskim szczytem. Światło dnia zaczęło przygasać.

- Rześko – skwitowała Matylda.
- Mało powiedziane – odparłem, patrząc w ślad za zjeżdżającym w dół wagonikiem.

Do domu prowadził wycięty w śniegu tunel o ścianach wysokich na metr. Willa była ogromna, z murowanym parterem i dwiema kondygnacjami z grubych, ciemnych, drewnianych bali. Okna parteru były rzęsiście oświetlone. Podeszliśmy do schodków zabudowanej, przeszklonej werandy, przez którą wchodziło się do budynku. W przedsionku mignął jakiś cień i drzwi otworzyły się na oścież. Stała w nich przysadzista kobieta, owinięta dużą góralską chustą w kwiaty.

- Dzień dobry – zawołała do nas. – Proszę, zapraszam, zmarzli państwo?
- Odrobinę – odparła Matylda, wbiegając po schodach cała w uśmiechach. – Dzień dobry. Jestem Matylda.
- Maria Karasek – przedstawiła się kobieta.

A więc to była matka naszego gospodarza. Gdy znaleźliśmy się w jasnym przedsionku werandy, mogłem się jej lepiej przyjrzeć. Podobnie jak jej syn była pulchna i rumiana. Krótko ścięte włosy farbowwała na jasny blond. Miała na sobie czarne elastyczne spodnie

i granatowy polar nie dopinający się na obfitym biuście. Spod bluzy wyzierała biała atłasowa bluzka. Stroju dopełniały ciepłe góralskie kapcie z futerkiem.

– Wszyscy są w livingroomie – wyjaśniła, prowadząc nas przez hall. Drewniana podłoga skrzypiała pod naszymi stopami. – Bagaże możecie tu zostawić pod schodami, Józek zanieś na górę.

Jak na zawołanie otworzyły się boczne drzwi, w których pojawił się młody piegowaty chłopak, ukłonił się niezgrabnie, chwycił nasze walizki i zaczął się wspinać po drewnianych schodach. Maria Karasek wyjaśniła nam, że Józek jest synem Kazka od wyciągu. W willi obecnie pracuje również siostra Kazka, Anieli, która zajmuje się gotowaniem i sprzątaniem, a przy tylu gościach pomaga jej córka Paulina. Spotkać na robocie takie osoby, jak matka naszego klienta, to wielkie szczęście. Nie trzeba ich ciągnąć za język, wystarczy delikatnie zachęcić.

Salon był duży i jasny. W centralnym punkcie znajdował się kominek, w którym płonął ogień. Po całym pokoju porozstawiano niskie stoliki kawowe, otoczone mnóstwem foteli, w których rozsiedli się goście. Byłem wdzięczny Matyldzie za rzetelne przygotowanie. Witając się po kolej ze wszystkimi, przypominałem sobie, co o nich wiem. Pierwszy podszedł wspólnik naszego klienta – Roman „Romeo” Ciesielski. Mówiono o nim, że jest młodszą, ulepszoną wersją Karaska – opalony, wysportowany, przystojny absolwent jakiejś pomniejszej prywatnej uczelni ekonomicznej. Złośliwi twierdzili jednak, że Romeo nie ma tego naturalnego drygu do robienia pieniędzy. Najwyraźniej czuł się w tym domu jak u siebie. Od razu zapytał czego się napijemy i proponował alkohole stojące na barku.

Jeszcze bardziej przyjacielski, przesadnie wręcz jowialny, okazał się komisarz Stefan Bober. „Nienasycony wyjadacz” – tak określiła Matylda tego niskiego, krągłego człowieka po pięćdziesiątce. I coś w tym było. Ta nalana czerwona gęba, mięsiste wargi, co rusz siorbiące drogą whisky z kryształowej szklanki i łakome spojrzenie, jakim obrzucił moją sekretarkę sugerowały człowieka o spo-

rym apetycie. Na cokolwiek. Krążyły o nim różne opinie, w większości niepocholebne, ale też zachowawcze. Nikt oficjalnie nie chciał powiedzieć, że to koniunkturalista i łapówkarz. Mówiło się, że facet ma kwity na wszystkich. Towarzyszyła mu żona o manierach równie oleistych i ostentacyjnie serdecznych. I podobnie jak on była niska, obła i rumiana. Ciekawe czy się dobrali na zasadzie podobieństw czy upodobałi do siebie przez lata małżeństwa.

Zupełnie inne wrażenie robił Krzysztof Szymczyk, pseudonim „Betoniarz”. Ledwo skinął nam głową z fotela, nie przestając uważnie obserwować całego otoczenia. Podobno pseudonim wziął się nie tyle od branży budowlanej, którą się zajmował, ale od krążących o nim legend. Podobno swoich wrogów miał w zwyczaju wrzucać w betonowym obuwiu do zbiorników wodnych. Znalaziono kilka takich osób, ale nie dało się go wprost powiązać z ofiarami. Zresztą to było na początku lat dziewięćdziesiątych, a w czasie, o którym opowiadam, zajmował się już tylko uczciwym biznesem. Przynajmniej oficjalnie. Betoniarz i Karasek robili niekiedy razem jakiś biznes, częściej jednak konkurowali ze sobą. Szymczykowi towarzyszyła żona Grażyna, jedna z vice miss jakiegoś pomniejszego konkursu piękności. Siedziała obok męża, wystrojona – zupełnie nieodpowiednio do okazji – w obcisłą, białą sukienkę i białe szpilki, z jej twarzy nie schodził szeroki uśmiech, zapewne ten sam, który pomógł jej dojść do finału konkursu.

Trzej pozostali osobnicy byli podwładnymi naszego klienta. Ich pozycja i rodzaj zajęcia nie były do końca jasne. Ale sądząc po posturach i obwodach bicepsów można było się domyślić, że stanowią coś w rodzaju obstawy. Pili jednak tego, jakby wcale nie byli na służbie. A może takie po prostu panowały u nich obyczaje. Całe towarzystwo zdążyło się już nieźle wstawić. Wybór alkoholi w barku był większy niż w niejednym klubie. Pod ścianą stał szwedzki bufet uginający się od żarcia. Z samego tyłu naręcza wiejskich kiełbas ułożone w stosy, kilka gotowanych szynek w całości i krojonych, góry kaszanek, salcesonów, pęta pasztetowych, wędzone polędwice, sa-

lami wielkie jak maczugi, a z przodu bryły pasztetów, tace trzęsących się galaret, półmiski śledzi w śmietanie i w oleju, jajka w majonezie, batalia serowych koreczków, stój kiszonych ogórków, salaterki z sałatką jarzynową i sosem tatarskim, dzbanuszki z octem. Nieco z boku koła wiejskiego chleba, kilka warkoczy chałek, a przed nimi gliniany garniec niemal po brzegi wypełniony białym smalcem z cebulą i skwarkami i stos masel uformowanych w szarotki. A pośrodku tego wszystkiego prosiak upieczony w całości, z jabłkiem w pysku, spoczywający na pościeli z sałaty, mocno już wyjedzony z boku. Całość z oddali przywodziła na myśl jakąś instalację, odwzorowującą w karykaturalny sposób tatrzański krajobraz.

Matylda jako ideologiczna wegetarianka skrzywiła się mimochodem z odrazą. Zjadła ogórka i uszczknęła kawałek z najbardziej oddalonej od mięsnych wzgórz chatki. Wolno sączyła białe wino. Oboje musieliśmy pozostać w pełni świadomi. Mnie trudniej było odmawiać wódki, której polewaniem zajmował się „Romeo” i nie chciał słyszeć odmowy.

– Kto nie pije, ten donosi – wtórował mu komisarz, rechocząc.

Aby nie paść szybko przy tych zaprawionych w zakrapianych imprezach, rad nie rad skorzystałem z tłustej oferty szwedzkiego bufetu. Zwłaszcza, że pozostali, z wyjątkiem dbającej o linię miss, jedli podobnie jak pili – dużo i łapczywie.

Rozmowa zeszła na temat „Zabójczego duetu”. Komisarz Bober, oczywiście w wielkiej tajemnicy, potwierdził, że niedawne morderstwo zakopiańskiego krezusa policja przypisuje parze słynnych killerów, którzy podobno przenieśli się ze swoim interesem w te okolice.

– Jestem tu nie tylko dla przyjemności, ale poniekąd też zawodowo – dodał, puszczając oko. Trudno było powiedzieć, czy mówi prawdę, czy tylko się popisuje po kilku głębszych.

Dyskusja stawiała się coraz bardziej wrzaskliwa, a ja zastanawiałem się, gdzie u diabła jest nasz gospodarz. Wtedy chyba po raz pierwszy ogarnął mnie niepokój. Na zewnątrz było już całkiem ciem-

no, małe prostokątne szybki okien oblepiły płatki śniegu, pomimo rozpalonego w kominku ognia słyszeć było wiatr pogwizdujący w kominie, mocne podmuchy wichury raz po raz uderzały w odstąpione ściany domu. Mój niepokój miał w tamtym momencie niesprecyzowany kształt i przyczynę. Jakby czytając w moich myślach Maria Karasek wstała i przeszła się wokół salonu zaciągając zastony. Nikt poza mną nie zwrócił na nią uwagi.

– Okropna pogoda, oj niedobrze, niedobrze – mruzczała do siebie, kręcąc głową.

Chciałem spytać dlaczego niedobrze, ale w tej samej chwili usłyszałem, jak Matylda zadaje pytanie zalotnym tonem, którego używała w bardzo specyficznych sytuacjach, zwykle, gdy trzeba było uzyskać informacje od jakiegoś bałwana, na którego takie proste jak budowa cepa metody działają.

– A dlaczego policja uważa, że to ta parka? – zaszcebiotała.

– Nie wolno mi ujawniać takich informacji – mizdrzył się stary bęcwał. – Powiem tyle, że są elementy wspólne.

– Jakie?

– Ale z pani ciekawska kobitka.

– No niech pan taki nie będzie – drążyła.

– Lepiej, żeby pani nie wiedziała. Na świecie są straszne rzeczy. Nie-wiedza i brak świadomości to błogostawieństwo, proszę mi wierzyć – zakończył tonem o wiele mniej poufałym. Zastanawiałem się nawet czy nie pobrzmiwała w nim groźba.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich facet tak wielki, że wypełniał sobą niemal całą przestrzeń futryny. Mógłbym przysiąc, że wchodząc do salonu skręcił potężne cielsko i przekroczył próg bokiem. Był łysy, ubrany w dresowe spodnie i czarny podkoszulek. Na grubej jak udo szyi błyszczał złoty łańcuch. Stefan „Wafel” Wiśniewski – osobisty goryl Karaska. Wafel odleżał dychę za rozboje, wymuszenia i ściąganie haraczy. Gdy wyszedł, Karasek dał mu robotę i tak zwaną drugą szansę. Ochroniarz spojrzał na mnie i kiwnął tysym, pokrytym bliznami łbem.

– Ty, szpicel, boss zaprasza na pogaduchy.

Nareszcie, pomyślałem, podnosząc się z fotela. Ruszyłem do wyjścia, Matylda uczyniła to samo, ale Wafel zastawił jej drogę i burknął.

– Panna zostaje tu i się dobrze bawi.

Byłem się, że Matylda zacznie protestować, ale posłusznie wróciła na swoje miejsce. A ja ruszyłem za mięśniakiem w głąb tonącego w półmroku korytarza. Wybuchy śmiechu, rozmowy, krzyki cichły za moimi plecami. Korytarz zakręcał. Dom był naprawdę ogromny. Odgłosy z salonu nie docierały tu już zupełnie. Wyraźnie było słychać świszczący wiatr, skrzypienie drewnianych podłóg, ścian i stropów, gdzieś w głębi grało radio i coś się tłukło, jakby ktoś rozbijał mięso na kotlety, trzasnęły jakieś drzwi. Olbrzym zapukał do drzwi na samym końcu tych korytarzy. Wszedłem za nim do środka.

Gabinet Karaska urządzony był meblami z początku XIX wieku, które wyglądały na pochodzące stąd. Być może wchodziły w skład wyposażenia willi. Światło było przytłumione. Palły się kinikiety po obu stronach drzwi, stojąca lampa w kącie i lampka na dużym, ciężkim mahoniowym biurku, za którym siedział Karat. Krąg światła obejmował jego obfity brzuch i sięgał tłustej szyi, twarz tonęła w cieniu. Zresztą ledwo to zarejestrowałem zapatrzonego w zjawisko, które przysiadło wdzięcznie na brzegu biurka. Przecież dopiero co oglądałem zdjęcia Izabeli Karasek, ale gdy ujrzałem ją na żywo, autentycznie odebrało mi mowę. Do tamtej chwili myślałem o niej jako o typowej, łasej na szmal młodej żoneczce starego bogatego dziada. Jak o kimś w rodzaju tej byłej vice miss, którą pojął za żonę Betoniarz. Musiałem zweryfikować tę wcześniejszą opinię. Izabela przypominała jakąś dawną gwiazdę kina złotej ery Hollywood. Złotrudę włosy opadały jej lśniącymi falami po prawej stronie twarzy jak kaskady górskiego strumienia potyskujące w zachodzącym słońcu. Oczy ocienione wachlarzami rzęs, usta pełne, czerwone i wilgotne rozciągnęły się w leniwym uśmiechu, odstawiając białe i równe zęby.

Podeszła do mnie wolnym krokiem wdzięcznie kotysząc się na wysokich szpilkach, boleśnie świadoma jakie wrażenie robi jej każdy krok i gest. Uścisnąłem jej smukłą dłoń i wydusiłem jakieś słowa powitania i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że już zniknęła za drzwiami i wraz z Waflem udała się do gości. Miałem wielką nadzieję, że nie zachowałem się właśnie jak totalny idiota, chociaż było to mało prawdopodobne. Karat zakaszłał.

– Siadaj pan, siadaj – rzucił niecierpliwie, przywołując mnie całkiem do rzeczywistości. Szybko zająłem miejsce w fotelu naprzeciwko biznesmena. Ten podsunął mi otwarte pudło cygar. Były to wielkie, grube, drogie kubańskie cygara. Podziękowałem, chociaż aż żałowałem, że nie palę, bo być może to jedyna okazja, aby zakosztować takiej zbytowej ekstrawagancji. Gospodarz natomiast chwycił cygaro grubymi paluchami, odciął czubek i podpalił srebrną zapalniczką. Po chwili wydmuchał gęsty jak cukrowa wata kłęb gryzącego dymu, od którego zapiekły mnie powieki, a oczy zaszyły łzami. Tymczasem Karat chwycił stojącą na biurku karafkę i nalał whisky do szklanek. Chlusnął hojnie do obu, nie przejmując się przyjętymi powszechnie miarami. Uniósł swoją. – No to zdrowie.

Stuknęliśmy i napiliśmy się. Karasek jednym haustem opróżnił swoją szklankę niemal do końca i natychmiast sobie dolał. Z końca biurka przysunął do siebie półmisek, stanowiący jakby pomniejszoną wersję stołu w salonie. Wpakował do ust kawałek szynki, zamoczył nadjedzoną laskę kiełbasy w musztardzie i odgryzł wielki kawał. Zaczął mówić, a mówiąc to popijał, to zakąsał, to wdychał kilka buchów cygara, przeplatając te czynności sprawnie, w ramach jakiegoś swojego dobrze znanego rytuału.

– No i co pan sądzi? Ciekawe towarzyszycho? Banda skurwysynów ot co. Jeden gorszy od drugiego. I pobrali se jeszcze takie pindy za żony, że koniec. Moja przynajmniej ładna. Ta stara krowa Boberowa, to jest babsztyl kuty na cztery nogi, pazerny i cwany jak jej mężuś. Stary komuch, fałszywy jak cygan, ale przydatny, jak mu posmarować szmalcem. Betoniarz to gangster, niby z tym skończył, ale to nieprawda. Ci

moi nie lepsi. Kasa, kasa, kasa, panie, nic tylko kasa. Wokół niej się ten świat kręci. Ale forsa to też problem – westchnął jakby zasmucony tym odkryciem. Pokiwał głową, smarując grubą pajdę chleba smalcem. Ugryzł i przez chwilę żuł w zamyśleniu, po czym wepchnął resztkę kromki do ust i sięgnął do szuflady. Wyjął jakieś kartki i rzucił na blat biurka przede mną. – Sam pan zobacz.

Na czterech kartkach widniały napisy ułożone z powycinanych z gazet liter. „Jesteś trupem gruba świnio”, „Jesteś następny cuchnący wieprzu”, „Jest na ciebie wyrok, utoczmy ci tego sadła” „Zdychaj zasrany tłuściochu”.

– Domyślam się, że nie był pan z tym na policji.

– No nie, jeśli nie liczyć starego Bobera. Ale ten zlekceważył zagrożenie, uważa, że to takie tylko szczekanie konkurencji. Być może, ale ja w biznesie przyjąłem strategię prewencji i zapobiegania, uprzedzania cudzych kroków i szybkiej eliminacji ryzyka, więc dla czego w przypadku zagrożenia życia mam działać inaczej.

– Myśli pan, że to ktoś z nich – ruchem głowy wskazałem za siebie.

– To najbardziej prawdopodobna opcja. Romeo jest łasy pieniędzy i niecierpliwy, chciałby przejąć ode mnie wpływy, a mnie wystać na emeryturę, a może do grobu. Podobnie Betoniarz. Taki gangster się nie pierdoli. Ja, panie, trzymam ich w miarę za mordę, że w mieście nie ma bajzlu, kurestwa i poróbstwa, beze mnie te wszystkie typki się zbieszą na amen. Z tych moich chłopaków też każdy ma dobrze pod kapichą. Sprytne gnojki, ale bez zasad. Myślą, że nie widzę jak między sobą walczą o wpływy, pozycję, mamonę jak wściekłe głodne kundły o ścierwo zdechłego kota. Nikt z nich nie jest taki głupi, żeby mnie załatwić osobiście. Mechanizm działania pasuje natomiast do tego duetu z pierwszych stron gazet. Oni najpierw tak właśnie ostrzegają, to ich znak firmowy i ostatnia szansa dla ostrzeżonego, aby się wycofał.

– Z czego pan miałby się wycofać?

– Prowadzę wiele interesów, które komuś nie pasują – odparł oględnie, wycierając chlebem resztę smalcu z garnuszka. Zakąsił i oblizał

paluchy. Potem rozlał resztę alkoholu do naszych szklanek. Mnie już konkretnie szumiało w głowie, natomiast na Karacie kolejne szklanki jakby nie robiły wrażenia, a zakładałem, że to nie pierwsza karafka, którą dziś wysączy. Był już co prawda dosyć czerwony na twarzy, ale to wszystko. Może to dzięki podkładce z tego całego tłuszczu tak dobrze znosił wypitą whisky.

- A komisarz Bober? Co on w tym robi? – spytałem z wysiłkiem.
- Każdy, kto chce rządzić, potrzebuje takiego Bobra, a tego chytrego kutwę wystarczy przekupić – wyjaśnił klient, odkasznął i sięgnął po następne cygaro. Mgła w tym gabinecie musiała dorównywać tej na zewnątrz. – No a on ma do tego najświeższe informacje w sprawie „Zabójczego duetu”.

Ciężko było mi się skupić w tej wędzarni, miałem właśnie zasugerować otwarcie okna, gdy rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Wafel.

- Szefie, Aniela każe przekazać, że kolacja gotowa. Ma podawać?
- No pewnie. Wszyscy już zgłodnieli.

Wybałuszyłem na niego załzawione oczy, pewien, że to żart, ale nie. Facet mówił to całkiem serio, a jego wierny żołnierz przytaknął. Obaj wstawaliśmy z foteli z niejakim cudem. Ja z powodu alkoholu, mój klient zaś musiał dźwignąć swoją sporą tuszę.

- Żona mnie namawia na narty – sapnął. – Ale póki co, to ja nie mam czasu na takie fanaberie.

Towarzystwo przeniosło się do jadalni. Gdy weszliśmy, naszego gospodarza powitano radosnymi okrzykami. Tylko Betoniarz pozostał powściągliwy. Reszta zagrała spektakl bezwstydnego lizusostwa, prześcigając się w zachwytach nad tym jak zostali ugoszczeni przez swego dobrodzieja. Karat przyjmował te hołdy z dystansem, a może jako coś, do czego był od lat przyzwyczajony i co według niego się mu należało jak psu buda. W końcu wszyscy usiedli. Państwo Karaskowie po dwóch przeciwległych stronach stołu. Uwaga zebranych skupiła się na Izabeli. Doszło nawet do pewnej scysji, gdy

- dwóch ludzi pana domu niemal się pobiło o to, kto usiądzie obok pani domu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie ma Matyldy. Spytałem siedzącą obok mnie panią komisarzową gdzie moja sekretarka.
- To pana sekretarka? Myślałam... – urwała z nerwowych chichotem.
 - Nie wiem, może poszła do pokoju.
 - Pani Matylda? – spytała Maria Karasek, zajmująca miejsce obok swojego syna. – Bardzo urocza dziewczyna. Poszła do kuchni pomóc Anieli, bo jej córka musiała wrócić na dół do dziecka, przed śnieżycą.
 - Śnieżycą? – pisnęła vice miss z przestachem, jakby pierwszy raz zetknęła się tym słowem, które jednak budziło w niej niejasny niepokój.
 - Co ona robi w kuchni? – zdziwił się Bober.
 - Pomaga Anieli – powtórzyła Maria Karasek, a reszta jej słów utonęła w ogólnym gwarze.
 - Węszy – padło gdzieś z drugiej strony stołu. Podniosłem wzrok, ale nie potrafiłem namierzyć wzroku.
 - Jak Paulina dostała się na dół?
 - Wyciąg nie działa przy takiej pogodzie.
 - Ścieżką przez las.
 - Przez las? To chyba niebezpieczne.
 - Ona zna dobrze teren. No i zdążyła przed śniegiem. Za kilka godzin droga nie będzie już do użytku.
 - To jak my wrócimy?
 - Zjedziemy na sankach, pani Grażynko.

Wrażenie niepokoju powróciło. A więc byliśmy tu naprawdę odcięci od świata. Z drugiej strony, skoro nie można było stąd się wydostać, to pewnie trudno byłoby się tu dostać. Zwłaszcza dwójce morderców nie znających terenu. Jeśli rzeczywiście chcieli załatwić Karata, to chyba raczej przy bardziej sprzyjających warunkach atmosferycznych. Problem w tym, że jakoś nie mogłem uwierzyć, że to właśnie oni dybią na życie mojego klienta. Równocześnie nie opuszczało mnie poczucie zagrożenia. Po tylu latach w zawodzie nauczyłem się ufać temu instynktowi śledczemu. Śmiertelne zagro-

żenie było realne. Pytanie skąd płynęło. Mój klient również wierzył w swój instynkt i według niego tu, w tym domu, czaiło się niebezpieczeństwo. Przy tym stole. Ten najczarniejszy scenariusz nabierał znamion prawdopodobieństwa. Od tych myśli oderwały mnie nowe pokrzykiwania, gwizdy i oklaski. Do jadalni weszła Aniela – przysadzista kobieta w średnim wieku, ubrana po góralsku w kwiecistą spódnicę, białą bluzkę i wyszywaną kamizelkę na baranich kożuszkach, z grubym brązowym warkoczem owiniętym wokół głowy. Niosła tacę z parującą zupą. Za nią zobaczyłem uśmiechniętą Matyldę niosącą drugą wazę. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że moja sekretarka zdążyła upodobnić się stylem do kucharki. Włosy zaplotła w warkocz, na ramiona narzuconą miała białą chustę w róże. Wcisnęła się z krzesłem pomiędzy mnie a jednego z ludzi Karata. Oczywiście w tych warunkach nie mogliśmy zamienić ani słowa na interesujący nas temat, po minie Matyldy poznałem jednak, że nie wróciła z kuchni z pustymi rękami i nie mam tu na myśli wazy z zupą grzybową.

Po zupie Matylda znowu pomogła Anieli i Marii Karasek zebrać ze stołu brudne naczynia i przynieść z kuchni kolejne dania. Placki po zbójnicku, smażone pstrągi, kotlety schabowe i mielone, sztuki mięsa w sosie chrzanowym, pieczeń wołową, udźce baranie, piersi z kurczaka, klopsy w sosie, koryta kiełbas smażonych z cebulą i boczkiem, plastry schabu ze śliwkami i morelami, patelnie z wątróbkami w jabłkach i nadziewaną kaczkę otoczoną wianuszkami skrzydełek kurczaka, parujące misy ziemniaków z omastą i tłuczonych z masłem, kopce domowych frytek, salaterki z kapustą duszoną i kwaszoną, ćwikłą z chrzanem i mizerią. Towarzystwo rzuciło się na dania jakby nie jedli od wielu dni. Oczywiście z wyjątkiem Izabeli i Grażyny, które skubały i dłubały w talerzach, rzadko unosząc widelce do ust. Matylda westchnęła i przysunęła sobie frytki i kapustę. Litrowe kufle piwa wznoszono raz po raz, co jakiś czas przepijając tłuste dania wódką.

I nie był to wcale koniec tej gargantuicznej uczt, bo potem wjechały desery – placki ze śliwkami, z serem, makowce, rolady

orzechowe, miodowe przekładańce, piernik w czekoladzie, domowe pączki na smalcu, lody z ajerkoniakiem i sześciopiętrowy tort truskawkowy z czapą bitej śmietany wysokiej na dziesięć centymetrów. Na koniec pan domu szepnął słówko kucharce, która po chwili wróciła z kilkoma butelkami alkoholu własnej roboty.

– Moje domowe nalewecki – wyjaśniła z dumą. – Z pozecki, malinowa, ozechówka i ze śliwecek. Na spirytusie. Pięćdziesiąt procent!

– Na dobre trawienie – dodał gospodarz.

A ja pomyślałem, że jeszcze tyk jednej z tych ambrozji i wpadnę pod stół. Tu nie przyjmowano odmowy.

– Z nami się nie napijesz?

Z pomocą przyszła mi moja niezastąpiona sekretarka, której jakimś cudem udało się zachować trzeźwość na tych bachanaliach. Dzięki temu wychyliła swój i mój kieliszek wzdrygając się lekko. Zaczęła ogarniać mnie senność. Dawno nie miałem tak męczącego śledztwa. Całe szczęście nie byłem osamotniony w tym znużeniu. Inni również zaczęli ziewać, niewątpliwie usypiani przez zawartość swoich żołądków. Wszyscy zaczęli się rozchodzić do swoich pokoi. W jadalni zostali tylko ludzie Karata, ci nie mieli ochoty kończyć tak wcześniej popijawy.

– No i co tam wyciągnęłaś z gospodyni?

– Nasz klient naprawdę obawia się o swoje życie. Nie może spać. Często w nocy budzi się i łązi po domu. Stał się nerwowy i drażliwy. Stres zajada albo łągodzi alkoholem.

Nic dziwnego, że facet nie może spać po takim żarciu, pomyślałem, przewracając się z boku na bok w ciemnościach. Nie mogłem sobie jakoś znaleźć wygodnego miejsca. Do mnie również, pomimo zmęczenia, sen nie przychodził. Wichura ustała, przez co wyraźnie docierały inne odgłosy, którymi ten stary dom rozbrzmiewał i pulsował jakby był żywym organizmem. Sapał, stękał, skrzypiał, kaszłał, zupełnie jak jego właściciel. Dom również nie spał, bo on także był pełen ciężkostrawnej ludzkiej treści, która nie dawała mu spokoju,

przynosząc ze sobą lęki i koszmary, z których obudził się z krzykiem. Ja również. Bo mnie obudził ten krzyk. Półświatomie uznałem to za swój własny senny koszmar. Obróciłem się na drugi bok i nakryłem głowę kołdrą.

Coś szarpało mną. Otworzyłem oczy i od razu oślepiło mnie światło dnia. Oba okna były odsłonięte, dzień był słoneczny, niebo błękitne, śnieg na parapecie błyszczał jak kupka diamentów. Ledwo zdążyłem pomyśleć, że zima za miastem może mieć pewien wdzięk, gdy dotarło do mnie, że u wezgłowia łóżka stoi Matylda. Była już zupełnie ubrana. Miała na sobie nawet kurtkę. W dłoniach trzymała dwa kubki z kawą.

– No nareszcie! – warknęła zirytowanym tonem i z rozmachem postawiła jeden z kubków na nocnym stoliku.

– Co nareszcie?

– Obudziłeś się. Pij kawę, wstawaj i ubieraj się.

– Jezu, tylko mi nie mów, że czekają ze śniadaniem – wyobraźnia momentalnie podsunęła mi obraz stołu zawalonego żarciem, z jajecznicą z kopy jaj w centrum, piramidami parówek po bokach i półmiskami sadła na sto sposobów, zajmującymi całą pozostałą przestrzeń.

– Nasz klient nie żyje – wypaliła.

Przez chwilę gapiałem się na nią, więc powtórzyła znowu tym zirytowanym głosem.

– Karasek nie żyje. Policja już tu jedzie. Czekają tylko na pług śnieżny.

– Czekaj. Co ty mówisz? Jak to nie żyje? Zamordowali go?

– Nie wiem, ale nie najlepiej to wygląda. Józek, ten chłopak od wszystkiego, znalazł naszego gospodarza godzinę temu podczas odśnieżania. Leżał pod balkonem swojej sypialni. Martwy. Prawdziwy fart, że nikt poza mną nie wstał, więc gdy Józek wpadł do domu z wrzaskiem, zdążyłam go spacyfikować. Poprosiłam, żeby został przy zwłokach. Zamknęłam pokój denata na klucz, bo nie ufam tej gro madce za grosz. Wieść się już rozniosła, więc mówię ci ogarnij się, bo jak ochłoną to nie wiadomo co zaczną wyczyniać. Powinniśmy przypilnować do przyjazdu policji, żeby nie zatarli śladów celowo

albo przypadkiem. Bober już się mianował głównym animatorem sytuacji. Ubieraj się – powtórzyła. – Czekam na korytarzu.

Domownicy i goście zgromadzili się w salonie. My jednak minęliśmy uchylone drzwi, zza których dobiegał szloch kobiet i ożywione rozmowy prowadzone półgłosem i niezauważeni wymknęliśmy się z willi. W nocy śnieg pokrył wszystko, nie było widać wyciągu, zniknął podjazd, płot i drzewa, wieś w dolinie również skryta się pod obfitymi białymi czapami. Od tej bieli momentalnie zapiekły mnie oczy. Otarłem łzawiące powieki, założyłem słoneczne okulary i ruszyłem za Matyldą śnieżnym tunelem, zapewne wykopanym przez Józka. Jeśli były tu wcześniej jakieś ślady, to zostały zmiecione przez nadgorliwego chłopaka. To całe odśnieżanie mogło być okolicznością dosyć podejrzaną, ale niekoniecznie. Jaki interes mógłby mieć Józek, aby zabić Karaska, dzięki któremu cała jego rodzina znalazła zatrudnienie i – jak Matyldzie wyznała Aniela – była to robota bardzo dobrze płatna.

Obeszliśmy dom, skręciliśmy za róg i znaleźliśmy się na tyłach willi. Była to północna strona, okna wychodziły na las, który zaczynał się zaledwie dziesięć metrów dalej. Na końcu wąwozu zobaczyłem wystającą ponad warstwę śniegu głowę w czerwonej czapce, należącą do Józka, który zaraz podniósł się z drewnianego zydlu, na którym siedział i wyszedł nam naprzeciwko, z wyraźną ulgą, że już nie musi tkwić tu sam.

– To ja już... – zaczął, ale od razu mu przerwałem.

– Poczekaj, nie idź jeszcze, chcę ci zadać kilka pytań.

– Jakich – zapytał z niechęcią i zaraz dodał zaczepnie. – I niby z jakiej paki?

– Nie masz się czym denerwować. Nie jestem z policji, jestem prywatnym detektywem. Twój szef mnie wynajął, bo się obawiał o swoje życie.

– No to się pan coś marnie spisał.

Słuszna uwaga – pomyślałem z niezadowoleniem. Stałem obok Matyldy na końcu wykopu. Ze śniegu wystawała wielka włochata łapa o serdelkowatych paluchach, mocno zaciśnięta w pięść.

Tym razem jednak nie czerwona tylko sinoblada z pobielatymi knyk-
ciami i szerniałym kciukiem. Podsunąłem sobie zydeł Józka i staną-
łem na nim, żeby spojrzeć z góry na ciało. Bardzo dziwny był to widok.
Jak człowiek trochę już żyje na świecie, to nawet wykonując taki za-
wód jak mój, pełen niespodzianek i dziwnych sytuacji, nadal porusza
się w rzeczywistości złożonej ze znajomych oswojonych elementów.
Rzadko pojawia się coś, co jest rysą na tym obrazie, zgrzytem, który
każe się zatrzymać i zastanowić, na co ja właściwie patrzę. To był
właśnie jeden z tych rzadkich momentów.

Mój nieszczęsny klient leżał twarzą do ziemi w głębokim dole,
który jego spadające ciało uformowało w swój własny kształt. Nagle
ogarnęła mnie niespodziewana wesołość, tak, że z trudem zdusiłem
parsknięcie. Ten widok obudził we mnie jakieś niejasne, absurdalne
skojarzenia, które spróbowałem namierzyć. Najpierw pomyślałem
o moim kuzynie, małym grubasku rzucającym się z piętrowego łóżka
w obfite pierzyny, z których zrobiliśmy lądowisko. Ale potem przypo-
mniało mi się coś innego. Kadry z kreskówek. Bohaterowie salwując
się ucieczką przebijają mur albo drzwi, zostaje po nich tylko dziura,
która ma ich kształt. Zachichotałem w kołnierz kurtki. Tak właśnie
wyglądał ten martwy biedak leżący w śniegu. Matylda zmierzyła
mnie surowym spojrzeniem, więc wziąłem się w garść.

- Ciało jest tylko delikatnie przyprószone śniegiem – zauważyłem.
- Zamieć skończyła się o drugiej – odparła Matylda, zuch dziewczyna,
że już zdążyła to sprawdzić. Lubilem z nią pracować, bo wyręczała
mnie w najnudniejszych czynnościach, na przykład wymagających
mozolnego weryfikowania godzin, dat i warunków pogodowych. –
Rozeszliśmy się do pokoi zaraz po północy.

Spojrzałem w górę na niewielki balkon znajdujący się kilka
metrów wyżej. Drzwi do pokoju były otwarte.

- To sypialnia? – spytałem.
- Nie, to gabinet szefa – Józek wskazał dolną część fasady, zbudowa-
ną z kamienia. W murze tkwiły małe okienka. – Tu jest spadek terenu,
nie. Więc to jest piwnica, a parter jest wyżej.

– Ale jak ktoś zdołał takiego wielkiego faceta wypchnąć z balkonu?

Na to pytanie nikt na razie nie znał odpowiedzi.

– Myślę, że musimy tam zajrzeć przed policją. Tylko żeby tamci nie za-uważyli.

– Jest drugie wejście, lepsze, wychodzi prawie na gabinet szefa. Pokażę wam – zaproponował chłopak wyraźnie ożywiony, jakby i jego zaczęło ekscytować to śledztwo.

Chwycił topatę i zaczął dziarsko torować sobie drogę do ściany, pod którą było znacznie mniej śniegu. Szliśmy gęsiego wzdłuż ściany, aż dotarliśmy do schodków prowadzących na ganek. Józek wygrzebał pęk kluczy. Chwilę mocował się z drzwiami, których od początku zimy nikt nie otwierał. Weszliśmy do zatęchłego, nieużywanego przed-sionka. Walały się tu jakieś rupiecie, skrzynki, stare gumofilce, narty, butle z gazem. Zasugerowałem, aby tu zostawić nasze zaśnieżone buciory, dzięki czemu będziemy się poruszać ciszej i nie zdeptamy śladów. Nasz przewodnik otworzył następne drzwi, odsunął grubą, pluszową kotarę i znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu, który pamię-tałem z poprzedniego wieczoru. Poruszaliśmy się cicho i ostrożnie po skrzypiącej podłodze. Klucz do gabinetu miała Matylda. Wpuści-ła nas do środka i od razu za nami zamknęła. Drzwi balkonowe były otwarte przez kilka godzin, więc w pokoju panował chłód. Dywan pod stopami był lodowaty. Założyłem gumowe rękawiczki, które zawsze na wszelki wypadek noszę ze sobą. Matylda miała własne.

– Ty niczego nie dotykaj – ostrzegłem naszego pomocnika. – Ale po-rozglądaj się i powiedz czy coś ci się rzuca w oczy. I patrz pod nogi.

Józek skinął głową nadal bardzo przejęty niespodziewa-ną nową rolą, w której się znalazł. Zaczęliśmy oględziny pokoju. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło od poprzedniego wie-czoru. Nawet lampy pały się te, co wczoraj. Na biurku wciąż leżał półmisek z resztkami przekąsek, obecnie wyglądały jeszcze mniej apetycznie, bo leżały w ściętym białym łożu. W popielniczce spoczy-wało więcej niedopałków cygar. Karafka była pusta, ale obok stała nowa butelka whisky, napoczęta w jednej czwartej.

Stanąłem w drzwiach balkonu i spojrzałem na las, czarne pionowe linie i ciemne plamy na białym tle. Coś błysnęło w głębi. Pomiędzy drzewami stała ambona myśliwska. Niezbyt przyjemny widok z okna. Zrobiłem krok do przodu, aby się lepiej przyjrzeć, dotknąłem balustrady, ale zaraz cofnąłem dłoń, bo metalowe obramowanie pokryte było warstwą lodu, którego liszaje spływały też po drewnianych szczeblinkach. Mój wzrok zsunął się w dół i aż się wzdrygnąłem, bo na moment zapomniałem o leżących tam zwłokach. Przy okazji rzuciło mi się w oczy, że barierka była umieszczona dosyć nisko. Karasek był wysoki, a jego środek ciężkości usytuowany był wysoko. Mógł zostać wypchnięty. Patrzyłem na powykręcane pod nienaturalnymi kątami kończyny i teraz nie znalazłem w tym widoku niczego zabawnego. Przeciwnie, Józek miał rację, zawiodłem klienta i to totalnie. Ktoś go załatwił pod moim nosem. Morderca musi mieć niezły tupet albo czuje się tak bezpiecznie. Ogarnęła mnie bezsilna złość. No, ale jeszcze zobaczymy. Bo teraz nie tylko chciałem dopełnić ostatniego obowiązku wobec klienta, teraz kwestia wytropienia zabójcy stała się również moją osobistą sprawą.

Zięb ciągnący od podłoża momentalnie przeniknął przez nieobute stopy. Oderwałem wełniane skarpetki od pokrytych lodem desek i wycofałem się do gabinetu. Podzieliłem się z Matyldą i Józkiem moimi spostrzeżeniami i spytałem czy znaleźli coś ciekawego.

- Interesującą apteczkę w biurku – rzuciła z przekąsem Matylda. – Pudełko z kokainą, stoiczek z tramalem i aviomarin.
- Ja nic o tym nie wiem – powiedział Józek. – Ale czy nie lepiej byłoby to wyrzucić zanim...
- Nie. To podchodziłoby pod mataczenie – uciąłem temat ostro, ale widząc niepokój na twarzy dzieciaka dodałem uspokajająco. – Nie martw się, tobie to nie zaszkodzi. Ani twojej rodzinie.

Wcale nie byłem tego taki pewien, ale wolałem mieć pewność, że Józek nie zrobi ze strachu czegoś durnego. Matylda zabrała się za wertowanie grubego kalendarza oprawionego w czarną skórę. Ja odłożyłem apteczkę na miejsce i zajrzałem do pozostałych szuflad

biurka. A potem do kosza na śmieci stojącego obok, ale znalazłem w nim tylko obgryzione kosteczki kurczaka, wielką kość z golonki i rybne łby. Szybko się odsunąłem, aby przypadkiem do wstrętnej zawartości kubła nie dorzucić własnej ohydnej treści żołądka.

– Nie ma listów – oznajmiłem.

– Jakich listów? – spytał Józek.

– Z pogrozkami. Twój szef dostawał takie. Słyszałeś o tym?

– Tak. Wafel się wygadał Paulinie i się rozeszło. I kiedyś jak Paulina sprzątała gabinet to je znalazła i mnie zawołała, żeby pokazać.

– Gdzie Karasek je trzymał?

– Tu – powiedział chłopak, pokazując drugą szufladę. – W takiej teczce, zielonej chyba...

Zamilkł zmieszany, chyba sobie uświadomił, że właśnie się wygadał, że grzebali w prywatnych rzeczach pracodawcy, co mnie – człowieka żyjącego z gmerania w cudzych brudach i prywatnych sprawach – akurat w ogóle nie obeszło. Bardziej przejąłem się tym, że zielona teczka w drugiej szufladzie była pusta. Usiłowałem sobie przypomnieć jak dokładnie brzmiały te pogrozki ułożone z wyciętych z gazet czarnych liter. Nic konkretnego, same ogólne.

– Czy morderca zabrał listy? – zadałem na głos pytanie, nie oczekując na razie odpowiedzi. Równocześnie rozpoznałem to znajome uczucie narastającego podniecenia, gdy po złapaniu tropu, we mgle, gdzieś w oddali, zaczyna pomału klarować się obraz sytuacji. Z drugiej strony nie mogłem uwolnić się od wrażenia, że o czymś po drodze zapomniałem. Jak wtedy, gdy ktoś nam przerwie w trakcie dzielenia się jakąś myślą, rozmowa zaczyna skakać z tematu na temat, ale z tytułu głowy pozostaje niepokój, że coś umknęło.

Zakopiańska policja zjawiała się pół godziny później. Bober próbować zagrać kartą kolegi po fachu, ale jego umizgi zostały od razu zdecydowanie i kategorycznie odrzucone przez komisarza Chyca przydzielonego do sprawy. Wszystkich nas poproszono o pozostanie w salonie, a przy drzwiach stanęło dwóch mundurowych na wypadek,

gdyby ktoś chciał dać nogę. Jedynie matce i żonie denata zezwolono opuścić salon. Pierwsza kiwała się od paru godzin w przód i tył z twarzą zastygłą w niemym szoku. Druga dostała ataku hysterii, nie mogła przestać płakać, co jakiś czas wyrzucała z siebie jakieś rwane niezrozumiałe słowa, zapowietrzając się i dusząc, co w końcu doprowadziło do napadu gwałtownej czkawki. Obie dostały jakieś środki uspokajające i pod opieką policjantek poszły do swoich pokoi, aby się położyć. Po ich wyjściu wszyscy poczuli pewną ulgę, nareszcie mogąc otwarcie rozmawiać o tym, co się stało. Po chwili niemal wszyscy przerzucali się teoriami na temat przyczyny zgonu pana domu. Bober pierwszy zasugerował, że stoi za tym „Zabójczy duet”, reszta w zasadzie też się skłaniała ku tej wersji. Potem próbowali dociec jak para morderców dostała się tutaj. Nawet Grażyna ośmieliła się zabrać głos, chociaż ograniczyła się do powtarzania jakie to straszne, co za świat i biedna Izabela. Tylko nasz kąt nie brał w tym udziału. Starąłem się chłonać każde słowo, Józek również przystuchiwał się dyskusji, wciąż tak samo podekscytowany, Aniela natomiast wyglądała na mocno zde gustowaną, a wyraz pogardy na jej twarzy pogłębiał się z każdą chwilą. Matylda obserwowała sytuację, która zdawała się ją bawić.

– Przecież nas też mogli wymordować w łózkach – zawołała Grażyna, wstrząśnięta tą myślą. Złapała męża za ramię. – Krzyniu, kiedy pozwolą nam stąd odjechać? Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej. Boję się, a co jak wrócą?

– Nie bądź głupia – warknął do niej mąż – Muszą nas najpierw przesłuchać.

– Po co?

– Bo jesteśmy dla nich idealnymi podejrzanymi, Grażko – zaśmiał się Romeo. – Każdy w tym pokoju ma coś za uszami.

Rozległy się protesty, które współnik Karaska skwitował parsknięciem.

Dobra, dobra, rozumiem, psiarnia na nastuchu – mrugnął do dwóch funkcjonariuszy przy drzwiach, po czym podszedł do baru i nalał sobie kolorowej wódki do szklanki.

– Wasze zdrowie. Powodzonka, ale ja wam mówię, że morderca jest wśród nas.

Znowu rozległy się pełne oburzenia głosy, ale dyskusja ostatecznie umarła i w salonie zapadła dziwna cisza, w której dało się słyszeć trzaskające na palenisku bierwiona i syk pożerających je płomieni. A także niejasne odgłosy krzątający wokół domu.

– Co ja temu nasemu bidnemu Rysiulkowi naryktuje do trumny – odezwała się niespodziewanie Aniela. Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni, a ona wyraźnie się zmieszała, może nie miała zamiaru mówić tego na głos.

– W jakiś garnitur chyba, prawda? – zasugerowała Matyllda.

– A dyć łone syćka za małe na niego, takie cliwe, opięte tak na bzusysku. Przeca łod razu było widać, że łokropecnie hruby w takiej kabocie. Nie lubił się śtramcyć, a miał dutki na zecy. Zawse taki študer chyorny, nic się nie hańbił. Masny leber. Ludzie się śmiali. No a teraz co łon, jus nic. No i jakze łon się taki łobśląpany jak chudobny dziód pokaze na sądzie łu pana Jezusa? – zakończyła, wybuchając niespodziewanym płaczem.

Matyllda objęła ją ramieniem i zaczęła pocieszać.

– Niech pani nie płacze, ja pomogę pani coś wybrać, żeby pan Rysiek wyglądał elegancko... na sądzie – dokończyła niemal szeptem, starając się nie zaśmiać. A potem jakby uderzona jakąś myślą dodała całkiem poważnym tonem. – Może teraz pójdziemy? Co pani na to? Chyba nas puszczą, jak nam będzie jakiś policjant towarzyszyć.

Aniela skinęła głową ocierając łzy, a Matyllda poderwała się, pociągnęła za sobą zapłakaną gospodynię, wzięła ją pod ramię i dziarskim krokiem ruszyła w stronę naszych strażników.

Pół godziny później już buszowała piętro wyżej w szafie denata, pod okiem jakiegoś gliniarza, a ja zastanawiałem się, jakie informacje przyniesie. W końcu do salonu wszedł inspektor z kilkoma podwładnymi, aby nas poinformować, że zwłoki zostały właśnie zabrane i że na razie trudno coś powiedzieć.

– Zaraz zaczniemy wstępne przesłuchania. Rozlokowaliśmy się w jadalni. Posterunkowy Jarząbek będzie wzywał po kolei. Proszę wchodzić pojedynczo.

Zapowiadało się, że trochę tu posiedzimy. Józek, za zgodą inspektora, spenetrował spiżarnię i lodówkę i na stole w salonie znowu wylądowały mięsiwa, tyle że leżały w nieładzie, nie tworząc już mięsnej instalacji skomponowanej na wzór tatrzańskiego krajobrazu. Gdy przyszła kolej mojego przesłuchania od razu wyjaśniłem swoją rolę, ale to tylko sprawiło, że przedstawiciele władzy nabrali dodatkowych podejrzeń. Mimo to powiedziałem im wszystko, co wiem.

– Niestety listy zaginęły. Morderca musiał je zabrać ze sobą – zakończyłem moje zeznanie.

Oczywiście nie spodziewałem się, że którykolwiek z tych sztywniaków powie mi: dobra robota, bardzo nam pan pomógł. Ale oni zachowywali się, jakby to wszystko ich nawet minimalnie nie zaniepokoiło. Wymienili natomiast między sobą znaczące spojrzenia, co mnie dosyć zirytowało. Na twarzy Chyca zagościł drwiący uśmieszek.

– Ta pana teoria ma jeden bardzo słaby punkt. Tej nocy ujęliśmy „Zabójczy duet”. Pięćdziesiąt kilometrów stąd. Jutro będzie pan mógł o tym przeczytać w każdej gazecie.

– Więc listy zabrał kto inny – rzuciłem, zaskoczony niespodziewanym obrotem sprawy. A po głowie kołatało mi się: ale kto i po co?

Przesłuchania trwały do północy. Chyc nie pozwolił nikomu odjechać. Musieliśmy spędzić tu jeszcze jedną noc i dostaliśmy dwóch świeżych posterunkowych, żeby nas niańczyli. Maria i Izabela nie pokazały się już tego wieczoru. Policjantki zostały z nimi na noc. Tymczasem wieść o złapaniu duetu rozniósła się wśród towarzystwa.

– No i sami widzicie – uczeplił się swojego wcześniejszego zdania Romeo. – To znaczy, że morderca jest wśród nas.

– Na to wygląda – mruknęła Matylda.

– Co znalazłaś w sypialni nieboszczyka? – spytałem, aby zmienić temat. Wyglądało na to, że trzeba pożegnać się z poprzednią wersją i poszukać nowej.

– Kupę brzydkich szmat. Krój spodni sprzed dziesięciu lat, tureckie swetry z bazarku, skarpety cerowane chyba przez matkę. Aniela mó-

- wiła prawdę. Część marynarek popękała na szwach, tak je porozpychał, koszule potraciły guziki, a paski miały dorobione dziurki – Małylda ożywiła się i z jakiegoś powodu poweselała. – A do tego facet miał kolekcję najbrzydszych krawatów, jakie widziałam. Nie wyglądał dobrze w tym wszystkim za życia i w trumnie też nie zada szyku. – To dosyć smutne...
- No pewnie – przytaknęła wesoło. – Smutne, smutne, życie jest smutne. Nigdy nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że ktoś, kto ma wrodzony znakomity biznesowy instynkt, równocześnie jest ślepy na to, co najbliżej.
- Przecież podejrzewał...
- Wszystkich poza swoją żoną. Tak, wiem, to atrakcyjna babka, widziałam, jak te pajace głupieją przy niej. Nawet jak baba wychodzi za mąż tylko dla pieniędzy, to i tak pierwsze co robi, to bierze tego swojego brzuchatego oblecha w obroty – ubiera go odpowiednio, strzyże, goli, perfumuje, żeby się móc z nim pokazać. Zmienia nawyki żywieniowe, nakłania do aktywności fizycznej, a wyplenia złe nawyki. Dwa lata byli małżeństwem, a facet nie tylko przy niej nie rozkwitł, ale zaniebdał się ostatecznie. Więc albo to samolubne babsko rozpacza tak, bo sobie uświadomiło, że była złą żoną i już tego nie naprawi, albo dlatego, że jest sprytną oszustką i odgrywa przedstawienie.
- Uważasz, że Izabela zabiła męża?
- Chyba lepiej ode mnie się orientujesz w tych sprawach, czy to nie żony najczęściej mordują mężów i na odwrót?
- Owszem. Ale żeby udowodnić im winę, potrzebne są dowody. Brzydka garderoba to nie dowód. A poza tym twoja teoria ma jednak bardzo słaby punkt – zauważyłem, naśladując ton komisarza Chyca. – On miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył 130 kilo, a ona jest mała i drobna. Jak niby wypchnęła go z balkonu.
- Tego jeszcze nie wiem – przyznała i zamyśliła się. – Ale się dowiem.

Następnego dnia jednak sprawy przybrały tak niespodziewany obrót, że nie było się nad czym zastanawiać. Po południu pojawił

się inspektor z nowinami. Poprosił nas wszystkich do jadalni. Brakowało tylko matki i żony, nadal przebywały w swoich pokojach. Usiedliśmy wokół wielkiego stołu, na którym tym razem nie było nawet okruszka. Komisarz zajął to samo miejsce, co podczas przesłuchiwania – u szczytu stołu. Tam gdzie pierwszego wieczoru siedział pan domu. Gdy tylko ucichły szmery, rozmowy i szuranie krzesłami, Chyc zabrał głos.

– Śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych – oznajmił z zadowoleniem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. A potem ze wszystkich stron posypały się pytania. Jak to? Ale że co? Ale że jak? W jaki sposób? Czemu tak? Tak po prostu umarł? Na co umarł? Dlaczego spadł?

– Zawał, proszę państwa. Lekarz sądowy godzinę temu przystał mi protokół z sekcji – wyjaśnił inspektor i jakby na poparcie tych słów uniósł w górę białą papierową teczkę, ale nie wyjął z niej raportu, tylko położył na stole przed sobą. Splótł ręce i potoczył wzrokiem po twarzach niedawnych podejrzanych. – Darujmy sobie medyczny żargon, bo nic by państwo z tego nie zrozumieli.

Siedząca obok mnie Matylda fuknęła cicho, bo niejednen taki protokół miała w rękach. Z czasem przyswoiła sobie medyczną terminologię i nauczyła się czytać naukowe opisy ze zrozumieniem, aby móc je potem referować po ludzku – mnie i pozostałym zatrudnionym w firmie detektywom.

– Fakty wskazują, że najprawdopodobniej kolejność zdarzeń wyglądała tak: po suto zakrapianej, obfitej i niezdrowej kolacji Ryszard Karasek udał się do swojego gabinetu, gdzie dalej spożywał alkohol i palił mocne cygara. Już wtedy musiał mieć stan przedzawałowy. Być może zrobiło mu się duszno, więc wyszedł na balkon zaczerpnąć powietrza. W tym domu stale pali się w kilku kominkach, jest też włączone ogrzewanie centralne, więc temperatura utrzymuje się w okolicach dwudziestu pięciu stopni. Niestety, temperatura na zewnątrz spadła w nocy do minus dziesięciu. Wyjście z nagrzanego wnętrza na lodowate, ostre powietrze okazało się dla organizmu szokiem,

który był tą ostatnią i ostateczną przyczyną zawatu. Karasek musiał gwałtownie oprzeć się o balustradę i mocno przechylić, stracił równowagę i runął w dół. Upadek, ból, kolejny szok, panika i zimno przyspieszyły zgon. Według naszego medyka zmarł po jakichś piętnastu minutach, pomiędzy drugą a trzecią w nocy. To wszystko. Są państwo wolni. Zamykamy śledztwo, bo nie było żadnego przestępstwa, tylko smutne konsekwencje hulaszczego trybu życia oraz ignorancji, prowadzącej do zaniedbania własnego zdrowia – podsumował protekcyjnym tonem komisarz. Uznał widzieć, że jego psim obowiązkiem jest udzielić nam na koniec pouczenia.

Matylda ponownie prychnęła, tym razem dosyć ostentacyjnie. Zresztą, nie tylko ją rozdrażniło ostatnie zdanie.

– Graża, zbieraj dupę, jedziemy do domu – rzucił do żony Betoniarz, wstając od stołu. Z nikim się nie żegnając opuścił kuchnię, a była vice miss potruchtała za nim.

– No to my chyba też – stwierdził komisarz Bober. – Nie ma co tu siedzieć.

Oni również opuścili kuchnię. Natomiast Żołnierze Karaska nie mieli zamiaru na razie nigdzie się ruszać z posiadłości. Pewnie tylko czekali, aż wszyscy się zmyją, a oni będą mogli zacząć rozdierać na części spuściznę szefa. Chyc oznajmił, że idzie teraz porozmawiać z wdową i matką.

– Tylko se pan daruj te mądrości na koniec – warknął Romeo, a w tonie jego głosu wyraźnie pobrzmiwały złowrogie nuty.

– Właśnie – poparł go Wafel, wlepiając w policjanta ciężkie jak on całe spojrzenie – kobita wrażliwa i męża właśnie straciła.

Reszta chłopaków też na chwilę zapomniała o konfliktach w obliczu wspólnego wroga. Policji takie typy nie lubią z założenia, a ten fagas nie dość, że śmiał ich pouczać, to jeszcze planował gnębić piękną, bezbronną kobietę pogrążoną w żałobie. Wstali od stołu z groźnymi minami i rozkołtysanym zaczepnie krokiem zaczęli ostrożnie zbliżać się do policjanta, jakby planowali go osaczyć i spuścić łomot. Gdy jednak dobiegali się do miejsca, w którym stał,

stracili animusz, nie bardzo wiedząc, co teraz. Chyc, który na moment się spiął, odetchnął dyskretnie z ulgą, widząc, że typki, mimo wszystko czują pewien respekt do przedstawiciela władzy. Poradził im, aby zważali na słowa, chwycił teczkę i wyszedł szybkim krokiem. Zrobiliśmy to samo, bo musieliśmy jak najszybciej dostać się do gabinetu. W czasie tego starcia kogutów dokonaliśmy kuglarskiej sztuczki. Ja zapewniłem osłonę, a Matylda opróżniła teczkę komisarza. Nie wiedzieliśmy czy będzie zaglądał do niej podczas rozmowy z Izabelą, ale mogło się tak zdarzyć. Więc czasu było niewiele. Uruchomiłem kserokopiarkę, która rozgrzewała się niemrawo. Protokół składał się z pięciu kartek, które Matylda przejrzała pobieżnie, czekając, aż maszyna przestanie stękać, a zacznie działać. W końcu ksero pisnęło, oznajmiając gotowość.

Oryginał włożyłem do teczki identycznej jak tamta, kopię Matylda schowała sobie za pasek spodni. Chłopaki przeniosły się do salonu, więc bez trudu podrzuciłem teczkę na kuchenny stół. Chyc na pewno domyśli się, że to my doprowadziliśmy dokument, konsekwencji pewnie żadnych nie wyciągnie, bo byłoby z tym za wiele zwracania głowy. Na wszelki wypadek postanowiliśmy usunąć się z pola widzenia. Nasze pokoje nie nadawały się na kryjówkę. Z pomocą znowu przyszła nam nieoceniona Aniela, dzięki której Matylda miała dobre rozeznanie w kwestii zakulisowego funkcjonowania posiadłości.

– Chodź. Wiem, który pokój jest wolny – powiedziała szeptem, gdy bezszelestnie przemknęliśmy korytarzem wyłożonym grubym dywanem. – Zepsuł się tam kaloryfer, więc na razie go nie używają.

Pokój był zamknięty na klucz, na szczęście jednym z akcesoriów detektywa, z którym się nigdy nie rozstaję, jest komplet wytrychów, a sztuki forsowania zamków nauczył mnie znajomy włamywacz, z którego usług swego czasu nasze biuro korzystało, do czasu, gdy oznajmił, że wybiera się emeryturę gdzieś na morza południowe. Zanim wyjechał nauczył mnie podstaw fachu, który do dziś sumien-

- nie ćwiczę w wolnym czasie. Taki zamek jak ten nie wymagał jednak specjalnych umiejętności. Uporałem się z nim po ciemku w dwadzieścia sekund. Weszliśmy do środka. Zastony były zaciągnięte, więc wewnątrz tonęło w półmroku. Matylda odstąpiła je z cichym szmerem. Rozejrzałem się po pokoju, urządzonym podobnie jak nasze, meblami z jednej serii i ozdobiony średnio udanymi tatrzańskimi pejzażami, tego samego autorstwa. Tę sypialnię wyróżniała właściwie tylko warstwa kurzu na meblach i chłód spowodowany brakiem ogrzewania. Dlatego zaprotestowałem, gdy Matylda otworzyła balkonowe drzwi.
- Chodź tu i zobacz – zawołała mnie, wychylając się za poręcz. Wyszedłem więc za nią na mały balkonik i również wyjrzałem, żeby sprawdzić, co ją tak zaciekało. Piętro niżej znajdował się balkon. Od razu rozpoznałem lodowe zacieki na barierce i lodową taflę na deskach. Przeniosłem spojrzenie jeszcze niżej. Wciąż dało się odgadnąć, gdzie leżało ciało, ale miejsce było obecnie tak zdeptane, że lej po Karasku utracił jego kształt.
 - Zabierzmy się za te wyniki sekcji, może się czegoś dowiemy.
 - Nawet jeśli rzeczywiście zmarł z przyczyn naturalnych, to nadal pozostaje zagadką, co się stało z tymi pogroźkami. Może zniszczył je on sam. Nie wiem, czuł, że umiera, więc spalił te kartki w trosce o swój pośmiertny wizerunek, żeby go nie zapamiętano jako tłustego knura.
 - W gabinecie nie ma kominka – przypomniała Matylda. – Ale masz rację, ten fakt nie pasuje do wersji, którą przedstawił ten bubek.
 - On chyba po prostu nie uwierzył w istnienie tych listów. Skoro wiemy na pewno, że „Zabójczy duet” nie mógł zabić Karata i wykraść listów, bo od trzech godzin siedzieli w areszcie, ale listy zniknęły, to idąc tym tropem dalej musimy przyjąć opcję, że to nie oni są autorami.
 - Może się wkrótce upewnimy, jeśli zaczną zeznawać.
 - To, że wydarzenia, które miały tu miejsce poprzedniej nocy, zbiegły się w czasie z aresztowaniem słynnej pary morderców nie wygląda mi na zwykły zbieg okoliczności.

– Zobaczmy, co nam powie sam denat – mruknęła Matyllda i dodała wzdrygając się. – Ale tu zimno!

Wyjęła zza swoich jeansów zgięte na czworo kartki, włożyła z nimi na łóżko, opatulając się leżącą na nim kapą. Rozprostowała kartki i zabrała się za czytanie. Przez chwilę obserwowałem ruchy jej gałek ocznych pod powiekami. Śledziły tekst, jednostajnie przesuwając się wzdłuż jego linii. Tam i z powrotem.

– Też zrób coś pożytecznego – rzuciła do mnie, nie podnosząc wzroku znad druku.

– Muszę nad tym wszystkim pomyśleć – odparłem. A widząc, że na jej ustach zawitał drwiący uśmieszek, dodałem prowokująco. – Dlatego idę do świątyni dumania.

Zaszyłem się w toalecie. Usiadłem na zamkniętej klapie muszli sedesowej. Wyjęłem kieszonkowy notes, otworzyłem na pustej stronie i zastygłem w oczekiwaniu na wenę, pstrykając długopisem.

Naprawdę czułem się przytłoczony przez liczne informacje, zdarzenia i fakty. Zwykle śledztwo posuwa się opieszale albo utyka w martwym punkcie z powodu skąpej ilości danych. W tym przypadku problemem był nadmiar. Faktów, plotek, podejrzeń, wątków, dowodów, zdarzeń, pytań, wersji, często wykluczających się wzajemnie. Podobnie jak na stołach, podczas tych orgii żarcia i picia, organizowanych przez Karaska, w tym śledztwie również wszystkiego było za dużo. A co za dużo, to niezdrowo.

Zapisałem to zdanie i pomyślałem, że ten biedny martwy grubas na pewno nie zastanawiał się czy nie jest za dużo albo niezdrowo. Chyba niczego sobie nie odmawiał. Wokół hasła zacząłem wypisywać złe nawyki Karaska. Ten jego żarłoczny apetyt, łapczywość i nieprzerwany ciąg następujących po sobie lub przeplatających się łatwych, wręcz prostackich przyjemności, których sobie sam dostarczał, miały w sobie coś odrażającego. Nie bez znaczenia był jego wygląd. Nalana czerwona, spocona gęba, brzuchol wylewający się z gaci, i te wstrętne serdelowate paluchy gmerające w ociekających sadłem mięsnych łakociach i wpychające soczyste kęsy do tej wiel-

kiej mordy, która chyba nigdy nie przestawała międlić, przeżuwać, gryźć i wysysać. Jak Izabela mogła pozwalać mu się dotknąć tymi łapami albo dawać się całować tym wilgotnym zaślinionym ryjem. Na myśl o reszcie małżeńskich obowiązków żony Karaska, poczułem lekkie mdłości. Mój wzrok spoczął na stojącym w kącie czerwonym wiadrze. Podsunąłem je do siebie. Przez jakieś pięć minut starałem się wyciszyć i zapanować nad złośliwą wyobraźnią, podsuwającą obrazy. Wpatrywałem się w krople wody na dnie wiadra.

Rozległo się pukanie.

- Skończyłam – dobiegło zza drzwi. – Wyłaż, to naprawdę ciekawe.
- Znasz już mordercę?
- Znam. Już ci mówiłam jak to widzę. Nic się nie zmieniło, ale pojawiły się nowe fakty.
- Czyli nie umarł śmiercią naturalną?
- I tak, i nie.
- Ciekawe. A zabiła go żona?
- Oczywiście. Tylko jeszcze nie wiem jak.

Z trudem oderwałem spojrzenie od czerwonego dna, uniosłem głowę i wstałem z klozetu. Wiadro przesunąłem stopą do kąta w którym stało. Wsunąłem notes w zamyśleniu do tylnej kieszeni. Miałem wrażenie, że poruszam się wolno, jakby powietrze miało gęstość galarety. Wydawało mi się, że minęły wieki, gdy w końcu znalazłem się z powrotem w nieużywanym, zimnym pokoju. Matylda na powrót zagrzebała się w pościeli, która uformowała się wokół niej jak ściany gniazda.

Zająłem fotel naprzeciwko i rzuciłem mimochodem.

- Ja wiem jak.
- Co jak?
- Wiem jak to zrobiła.
- A więc zgadzasz się, że Izabela zabiła naszego klienta.
- Zgadzam. I wiem w jaki sposób go zabiła.
- Doskonale! – ucieszyła się.
- Najpierw powiedz, co wyczytałaś.

– Generalnie wszystko zgadza się z tym, co nam powtórzył Chyc. Nie dodał jednak, że w protokole z sekcji są wymienione wszystkie dolegliwości, patologiczne zmiany w organizmie, przebyte choroby, źle funkcjonujące narządy, wieloletnie schorzenia i nowe problemy, które wkrótce datyby o sobie znać, gdyby nie to, że umarł. Były dwie główne przyczyny zawału. Nadciśnienie tętnicze i hipercholesterolemia, o czym ten bubek nie wspominał, może uznał, że to za trudne pojęcia. W ostatnich tygodniach życia Karaska rzeczywiście było poważnie zagrożone i naprawdę zagrażał mu „Zabójczy duet”, tyle że nie ten, który podejrzewał.

– Tak zwana ironia losu.

– Aha, ciekawy jest jeszcze jeden fakt, który rzucił mi się w oczy w protokole. Na dłoniach denata znaleziono resztki farby drukarskiej i niewyraźne odbicie czerwonych i czarnych liter, z których pewne są tylko dwie pierwsze: U i M. Na co byś postawił, jakby to było koło fortuny?

– Umrzesz?

– Dziś? Umrzesz dziś?

– Umrzesz teraz. To po prostu doskonałe. Ostatni element, którego mi brakowało. Matyldo, jesteś niezastąpiona. Chyba muszę cię awansować na detektywa i dać podwyżkę...

– Chyba?

– Tylko nie obrośnij w piórka. Doskonałość tej współpracy polega na tym, że się znakomicie uzupełniamy, jak Flip i Flap. Frodo i Sam. Jak nadciśnienie tętnicze i hipercholesterolemia. Ty potrafisz rozgryźć medyczny żargon, a ja połączyć fakty, siedząc na sedesie.

– Wiemy kto, wiemy jak, wiemy dlaczego, ale niczego nie możemy jej udowodnić – powiedziała ze złością Matylda, krążąc po pokoju.

– Mamy też narzędzie zbrodni.

– Mamy?

Poszedłem do łazienki bez słowa i wróciłem po chwili niosąc czerwone wiadro. Poprosiłem, żeby zajrzała do środka.

– Widzisz? – Spytałem.

– Co mam widzieć? – Matylda zmarszczyła brwi i pochyliła się jeszcze niżej, niemal wsadzając do środka głowę. Po chwili wyprostowała się i wzruszyła ramionami. – To jakiś kawał? Tam nic nie ma.

– Na dnie jest woda, a podobno nikt od dawna nie wchodził do tego pokoju – powiedziałem powoli, ale Matylda nadal patrzyła na mnie podejrzliwie, jakby wciąż zastanawiała się, czy to jednak nie jest jakiś dowcip. A przecież sytuacja nie była nawet trochę zabawna. Westchnąłem i podsunąłem jej kolejną podpowiedź. – W wiadrze jest woda, a piętro niżej – lodowisko. Posklejaj te fakty.

Chyba nareszcie zaczęła rozumieć, bo śmiesznie wybałuszyła na mnie oczy. Niemal wyrwała mi wiadro z rąk i zaintrygowana wyszła z nim na balkon.

– No dobra, ale jak.. – zaczęła Matylda, ale w tym momencie drzwi otworzyły się z impetem. Odwróciliśmy się. Do pokoju weszła rozłoszczona Izabela. Chciała coś powiedzieć, ale nagle zamarta z otwartymi ustami. Jej spojrzenie zatrzymało się na stojącej na balkonie Matyldzie, która trzymała wiadro, przechylając je przez balustradę. Ten widok mocno wstrząsnął Izabelą. Niestety, trwało to zaledwie sekundę i wdowa zdołała opanować emocje.

– Co wy tu robicie? – spytała ostro. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Gorączkowo zastanawiałem się nad odpowiedzią. I nagle dotarło do mnie, że być może nie będzie lepszego momentu, aby skonfrontować Izabelę z tym, co odkryłem.

– Robimy wizję lokalną – odpowiedziałem spokojnie.

– Nie bardzo rozumiem – wycodziła lodowatym tonem.

– W tym momencie Matylda odgrywa Twoją rolę – wyjaśniłem ochocho i dorzuciłem niemal z podziwem. – Musiałaś to planować od bardzo dawna. To naprawdę imponujące na swój chory sposób.

Chyba nadal nie była pewna, jak powinna zareagować. Chyba uznała, że najbezpieczniej będzie udawać głupią, grać na zwłokę i sprawdzić, co dokładnie wiemy. Zrobiła zaskoczoną minę i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. W rudozłotych falach zamigotało światło. Ale teraz nie robiło to już na mnie żadnego wrażenia.

- O czym ty mówisz człowieku?! – spytała ostrożnie, jakby w obawie, czy nie ma aby do czynienia z parą wariatów.
- Matylda uważa, że planowałaś pozbyć się męża od samego początku – kontynuowałem, ostentacyjnie ignorując tę słabą szopkę, którą tu odgrywała.
- Pewnie myślałaś, że stary dużo wcześniej kopnie w kalendarz za sprawą twojej diety – wtrąciła Matylda, podejmując grę.
- Ale jak widać, umierał za wolno.
- A latka lecał! – dorzuciła złośliwie moja sekretarka.
- Nie chciałaś zmarnować swoich najlepszych lat ze starym capem, co? Postanowiłaś przyspieszyć trochę cały proces. Same złe nawyki to było za mało, aby się wykończył. Więc wytoczyłaś mocniejsze działa. Całkiem sprytnie podnosiłaś mu ciśnienie, wysyłając listy z pogrózkami, skomponowane na wzór tych, które dostawały ofiary „Zabójczego duetu”. Przy okazji mogłaś mu wreszcie wygarnąć, co naprawdę o nim myślisz. Gdy usłyszałaś, prawdopodobnie w radiu, że duet został ujęty, dotarło do ciebie, że tej nocy możesz po raz ostatni użyć pogróżki. I jeśli twój mąż nie będzie do rana martwy, to wkrótce się dowie, że to nie duet pisał te listy. I zaczniesz szukać prawdziwego autora. I może znajdzie. Dlatego podjęłaś tę ryzykowną akcję w środku nocy.

Izabela przerwała mi, wybuchając nagle głośnym i nieco sztucznym śmiechem. Równie nagle przestała się śmieć i spojrzała na mnie groźnie.

- W sumie to wcale nie jest śmieszne, Pan mnie obraża. – Próbowала grać opanowaną, ale głos jej drżał. – Nie będę wystuchiwać oszczerstw we własnym domu. Wynoście się stąd natychmiast. Zabierajcie swoje bety i wynocha! Won! Słyszycie? W tej chwili albo zawołam Wafla, żeby wam pomógł! – Widać było, że już cała drży i chyba zaczynała nieźle panikować, skoro próbowała nas zastraszyć w tak prymitywny sposób. Czułem jednak, że nasze chwile w tym domu rzeczywiście były policzone i nieuchronnie zbliżały się ku końcowi. Musiałem jednak podjąć ostatnią desperacką próbę wydobywania z niej zeznania.

– Ktoś cię widział – zablokowałem spontanicznie. – Widział, jak właśnie z tego balkonu wylewasz z tego czerwonego wiadra wodę na męża piętro niżej. I może by nie dostał z tego powodu zawatu, gdyby nie to, że właśnie przeczytał ostatni z twoich podrabianych listów z groźbą śmierci. Co tam było napisane? „Umrzesz teraz”? Zaczęłaś umrzeć? Uwierzył, że umiera. No i umarł...

Moje ostatnie słowa utonęły w krzyku Izabeli. Darta się jak opętana, wzywając swoich pacholców. Matylda wypuściła z rąk wiadro. Z korytarza dobiegały jakieś hałasy, trzaskanie drzwi, pokrzykiwanie. Jakby cały dom poderwał się na nogi. A potem rozległ się tupot. I zaczął narastać, aż nagle drzwi otworzyły się ponownie, ale tym razem z takim impetem, że niemal wyleciały z framug.

Co było potem, nie pamiętam. Matylda mi opowiadała, dosyć ogólnie i oszczędnie, ale i tak doszedłem do wniosku, że jednak wolę o tym po prostu nie pamiętać.

W drodze powrotnej za kierownicą golfa usiadła Matylda, bo zapuchnięte do rozmiarów butelki powieki bardzo utrudniały mi widoczność. Zresztą ze złamaną prawą ręką i tak nie dałbym rady prowadzić. Nie mówiąc o tym, że po przyjętej dawce tramalu kategorycznie zakazuje się prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Mogło być gorzej. Byłem w naprawdę znakomitym nastroju, ciesząc się, że nadal żyję. Ale może był to tylko wpływ tramalu, kto by się tym przejmował. Słuchaliśmy radia, tego dnia we wszystkich stacjach wałkowano jeden temat. Aresztowanie „Zabójczego duetu”. Wyliczano ich zbrodnie. Te, które dzięki zebranemu okazałemu materiałowi dowodowemu, będzie im można udowodnić w sądzie. I te opierające się na poszlakach. I wszystkie inne przestępstwa, o które byli podejrzeni. Wymieniano też zarzuty, jakie usłyszy para morderców.

– Oby posiedzieli jak najdłużej – wyraził nadzieję jeden z dziennikarzy prowadzących program.

– Ale przyznasz, że zapuszkowanie „Zabójczego duetu” to jednak koniec pewnej ery. Nasi „urodzeni mordercy” zyskali sławę międzynarodową – w głosie dziennikarza zabrzmiała duma. A ja się zaśmiałem.

Płatni mordercy zawsze fascynowali ludzi. Może za sprawą kina, ich zawodowi przypisano cały zestaw romantycznych cech. Filmowcy chętnie przedstawiali ich jako „ostatnich sprawiedliwych”, postępujących zgodnie z kodeksem własnych zasad. Mógłbym się jednak założyć, że teraz, gdy cały kraj poznał w końcu imiona duetu, ujrzał ich prawdziwe, chociaż zamazane oblicza i widział jak potulnie dawali się wpychać do policyjnej suki, tamta romantyczna otoczka rozwiła się bezpowrotnie.

Pomyślałem z zadowoleniem, że niezależnie od tego ile posiedzą, ich czas się skończył. I bardzo dobrze! Nie podejrzewałem jednak, że czas tego drugiego zabójczego duetu, który wykończył naszego klienta, ma dopiero nadejść...

Gaja Grzegorzewska – ur. w 1980 r., filmoznawczyni, jedna z najpopularniejszych pisarek kryminalnych. Wydała sześć powieści i cztery kryminały o prywatnej detektyw Julii Dobrowolskiej. Za trzecią powieść cyklu - „Topielicę” otrzymała nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej kryminalnej powieści roku. „Betonowym pałacem” otworzyła nowy cykl psychologicznych thrillerów z Krakowem w roli głównej. Nakładem Wydawnictwa Literackiego właśnie ukazał się drugi tom – „Kamienna noc”. Jest również współautorką wraz z Irkiem Grinem i Marcinem Świetlickim powieści „Orchidea”, będącej pastiszem gatunku kryminalnego. Zajmuje się też dziennikarstwem. Pisała do „Portalu kryminalnego”, „Polityki”, „Wprost”, „Gazety Wyborczej”, „Bluszcza”, „Chimery” i „Men’s Health”.



**SERVIER
DLA SERCA**



**Zabójczy
duet**

Opowiadanie powstało w ramach XVI edycji ogólnopolskiej kampanii profilaktyczno-edukacyjnej „Servier dla Serca”.

